

Wyspa. Boże Narodzenie w Centrum Mazowsze na Hindmarsh Island w Australii.



Anna Habryn

22 grudnia 1998 roku, 5 po południu.

Jest przepięknie. Droga z Cape Jarvis do Victor Harbour prowadzi wśród wzgórz i dolin, jak rollercoaster: w górę i w dół, w górę i w dół. Piaskowo-żółte wzgórza sprawiają wrażenie malowanych dekoracji teatralnych: są łagodnie zaokrąglone, jeden pagórek przechodzi w drugi pagórek...

Zjeżdżając z góry do Victor Harbour podziwiamy te cudowne kolory z lotu ptaka. Zatoka jest czysto błękitna, brzegi są żółto-ślono-oliwkowe, spiczaste czubki sosenek podkreślają obłąć pagórków. Do tego jeszcze kolorowe dachy usadzonego wśród tych wzgórz i lasków miasta...

Postanowiliśmy znaleźć obóz harcerski na Hindmarsh Island. Chcemy przenoć jedną noc u polskich harcerzy.

Na Hindmarsh Island przepływamy promem. Nie możemy znaleźć ani pomnika, ani posiadłości harcerzy, ale dojeżdżamy do ujścia rzeki Murray. Jest to szerokie rozlewisko. Ludzie łowią ryby z plaży, ale my stajemy tu tylko na noc, parkujemy naszego kamperwana na końcu drogi. Nikt nas tu nie znajdzie... Hmm, źle powiedziane, stoi tu sześć samochodów, ale prawdopodobnie odjadą wieczorem, a my zostaniemy.

To chyba śpiewa skowronek?! Wysoko w niebie, nad tym suchym polem...

23 grudnia

Wyspa jest urozmaicona bardziej, niż nam się wydawało. Ta druga jej część, zwrócona ku miastu Gulwa, jest nieco zalesiona i na tym właśnie brzegu, w pięknym lesie jest Centrum Mazowsze. Stoi tu kilka półokrągłych baraczków takich jak te „beczki śmiechu”, w których mieszkały przed pięćdziesięciu laty pierwsze grupy przybywających do Australii Polaków. Opiekuje się tym ośrodkiem rodzina z tzw. nowej Polonii, która mieszka w takim baraczkach od kilku miesięcy: ojciec, matka, dwoje dzieci. Mieszkają tu czasowo i budują sobie dom w mieście.

Pachnie intensywnie, po polsku, sosną. Pod drzewami stoi trochę zbitych z okrągłaków mebli: stoły, ławy, estrada i podłoga z desek, na której za kilka dni, w Sylwestra, będą tańce. Stoi nawet choinka, ubrana dla dzieci. Kilka baraczków z falistej blachy i dwa harcerskie namioty stoją na razie puste. Nad jeziorem, po drugiej stronie drogi, wybudowano murowany dom. Są tam prysznice, a których wolno nam korzystać i ktoś tam wczoraj zamieszkał, więcej nie ma tu nikogo. Na razie.

Ta wyspa cała była kiedyś własnością Polaków. Jedna z dróg nazywa się Semaszko, druga Nanicz... Gdzieś tam jeszcze jacyś Polacy mają swoje domki letniskowe.

Gospodarze Ośrodka to bardzo miła rodzina. Wydają się naprawdę szczęśliwi, że przyjechaliśmy, my też jesteśmy szczęśliwi, bo bardziej nam się tu podoba niż w kempingu w Adelaide, gdzie mieszkają przyjaciele, współtowarzysze podróży. Tamci

powinni dzisiaj tutaj zjechać. Byliśmy u nich zaprosić ich na wigilię, ale nie chcieli do nas przyjechać, bo im się wydawało za daleko, a poza tym w ich karawanparku miało być świąteczne party z darmowym jedzeniem i piciem. Tak więc wybrali party wśród Australijczyków. Daj im Boże zdrowie. Może będą mieli dobrą wigilię, ale czy lepszą niż my - wątpię.



Wigilia...

Następnego dnia po przyjeździe zrobiliśmy Wigilię wspólnie z gospodarzami.

Tuż przed wigilią łowiliśmy karpie z drewnianego pomostu do cumowania łódek. Złowiliśmy pięć ryb, które zresztą upieczone później w folii na *barbacue* pachniały mułem. Karpie w Południowej Australii nie brakuje, wprost odwrotnie. Przywieziono je z Europy, wpuszczono do rzeki i... rozmnożyły się tak, że zagroziły miejscowej

faunie. Kiedy miejscowi wędkarze złowią karpia, wyrzucają go z obrzydzeniem w nadbrzeżne krzaki! No, ale my musieliśmy przecież mieć na wigilijnym stole karpia, żeby było „po polsku”!

Dookoła nas pływała kaczką z dwoma kaczątkami. Córka Edka, mała Oliwia wyjaśniła nam: kilka dni temu było tych kaczek pięć, ale coś je widać pozjadało i zostały dwa. Stara odganiała wszystkie inne kaczki, ale jak jej rzucaliśmy kawałek ciasta, to dzieci musiały z nią współzawodniczyć, żeby złapać kąsek. Widać niedobra z niej matka! Oliwia złapała podbierakiem jedno z tych kaczątek i wyciągnęła je z wody. I wtedy... wtedy kaczką podniosła rozpaczliwy krzyk! Zaczęła się miotać po wodzie, pióra stanęły jej dęba... Tak rozpaczała, tak się strasznie awanturowała, tak protestowała przeciwko temu, co się działo, to były takie zupełnie ludzkie uczucia... Powiedziałam do Oliwii: „Puść je, ja tego nie wytrzymam”.

Wigilia była wspaniała.

Mieliśmy nawet więcej niż dwanaście potraw. Ja zrobiłam zupę grzybową, ale Zosia zrobiła za to trzy inne zupy: i żurek czerwony, grochówkę i żurek biały, był też karp smażony i moje śledzie z cebulką i pierogi ruskie – wielka ucztą!



Hindmarsh Island

Boże Narodzenie

Po raz pierwszy w tej podróży rozłożyliśmy obóz całkowicie, tzn. rozbiliśmy oba namioty i powiesiliśmy między drzewami hamak. Wczoraj próbowałam leżeć na tym hamaku, ale był taki wiatr, że wydawało mi się, że na głowę pospadają mi nie tylko olbrzymie szyszki, ale i gałęzie. Nie wytrzymałam nerwowo.

Ale dzisiaj się wiatr uciszył i kto wie, może znowu sobie poleżę?

Na drzewach siedzi całe stado papug *galah*. Mają różowe brzuszki. Są szare, ale w słońcu mieniają się różnymi kolorami. W tym lesie jest w ogóle dużo ptaków. Pod nogami mięciusiańska ściółka z igieł i szyszki i byłoby bardzo, bardzo przyjemnie, gdyby nie komary, niestety. Oganiamy się, a wieczorem muszę zamykać samochód i przed snem wysikać go trucizną w aerozolu, zabójczym preparatem. Komary spadają martwe, my też jesteśmy potem lekko podtruci, ale dopiero potem spokojnie śpimy.

Drugiego dnia świąt jedziemy do miasta, czyli do Adelaide, na wcześniej umówione spotkanie z kimś ze „starej Polonii”. Tadek jest w dobrym humorze. Dobrze mu się

żyje. Ja robię wywiady ze starymi polonusami, z przeznaczeniem do archiwum w Kanberze, w ramach projektu „Oral History”, a on sobie popija piwko. Jemy świąteczne ciasta, którymi nas ludzie częstują, popijamy wiśnióweczki i koniaczki, próbujemy bigosów, jednym słowem, korzystamy z tego, że mamy „historyczną misję” do wypełnienia wśród Polaków. Właściwie prawie wypełniłam już mój program nagrań. Teraz tylko pozostaje dowieźć taśmy do Polsko-Australijskiego Instytutu Historycznego.

Później

Wracając, przy przeprawie promowej trafiliśmy na zator: kolejka samochodów, wóz policyjny na sygnale, jakiś *towtruck*... Nie wiedzieliśmy, co się stało. Gospodarz na Mazowszu, Edek, powitał nas ze zwichrzonym włosiem i z rozpaczą w oczach. Okazało się, że syn znajomych Polaków z wyspy, chłopak 16-letni, rozbił się samochodem, na śmierć. Chłopcy przywieźli ze sobą na wakacje *jet-ski*, czyli skuter wodny. Wywalił im się i pędzili, żeby go ratować. Rąbnęli samochodem w drzewo.

Jak się ma dorosłe dzieci, to człowiek stara się odzwyczaić od ciągłego myślenia o nich, narzuca sobie siłą woli dystans, żeby już nie myśleć o tym, że jego dzieciom może się coś stać. Ale kiedy się ma małe dzieci, ten instynkt jest bardzo silny...

Edward ma dwoje dzieci, syn ma osiem lat, córka dwanaście. Ja rozumiem uczucia kogoś, kto myśli o tym, że mogło by się jemu coś takiego przytrafić.

Przypomniała mi się ta kaczka szalejąca z rozpaczy...



30 grudnia

Pojechaliśmy do Adelajdy na ostatnie spotkanie z K. Podróż zajęła nam dwie i pół godziny, a to dlatego, że czekaliśmy na przeprawę promem chyba z półtorej godziny. To są warunki niezwykle, świąteczne, ale tak już będzie przez całe wakacje. Kolejka olbrzymia, z prawej strony podjeżdżają samochody stałych mieszkańców wyspy, z przepustką. Reszta czeka. Wyspiarze jednak nie chcą wcale budowy mostu. Wcale nie pragną, żeby każdy mógł się łatwo dostać na Wyspę. (Od tego czasu dużo się zmieniło: most jednak zbudowano).

Z państwem K. pożegnaliśmy się w drzwiach, na stojąco. Oddałam im życzliwie pożyczoną nam kilka dni wcześniej mapę. Na wzmiankę o tym, że mieszkamy na Hindmarsh Island, zapanowało milczenie. Wymowne, z uniesieniem brwi do góry. Nie wiedziałam, o co chodzi, aż spotkałam się z ludźmi, którzy na tej Hindmarsh Island wprowadzają swoje porządki i wtedy dopiero zrozumiałam, jak głęboki jest konflikt między „nowymi” a „starymi” Polonusami w Adelaide.

Przyszedł Sylwester. Atmosfera jest nieco nerwowa, bo zaledwie przedwczoraj

dowiedzieliśmy się o śmierci tego chłopaka. Bardzo wielu jego kolegów miało być na tym sylwestrze na Wyspie. Cała ta rodzina była bardzo związana z Mazowszem. Ojciec prowadził tu często dyskoteki. Ostatnio organizował w ośrodku Andrzejki. Oczywiście w obliczu tragedii wszyscy ci ludzie i ich znajomi odwołali swój przyjazd. Niemniej zjechało na Wyspę około 80 osób, nie licząc dzieci. Bal musi się odbyć. Muzyka będzie dyskotekowa. Wystąpi też Mietek Kosmański, miejscowy muzyk i poeta śpiewający ballady, podobno bardzo dobry.

1 stycznia 1999

Początek nowego roku obchodzono hucznie, bo puszczano na polanie fajerwerki. Cierpła mi skóra na myśl, co będzie, jak się ten suchy las zapali, ale się nie zapalił.

Potem były tańce, ale nastrój był nieco przygaszony. Tadeuszowi zrobiło się przykro i nawet się zmobilizował i zatańczył ze mną ze dwa razy. Poznaliśmy kilkoro miłych ludzi, między innymi Krysę i Andrzeja, parę działaczy, która zorganizowała całą tę sylwestrową zabawę. Dobrze po północy rozmowy Polaków pod sosnami na Hindmarsh Island były bardzo szczere i osobiste. I daleko sięgające w historię. Andrzej zwierzał się Tadeuszowi, że za działalność w NSZ-cie i AK jego rodzice dostali długoletnie wyroki. Pamięta, miał już wtedy kilkanaście lat, jak przyjechała do nich stara kobieta i powiedziała: „Jestem twoją matką”. Usłyszeliśmy też całą historię bitew o przetrwanie i nadanie nowego, prawdziwie harcerskiego charakteru (o przywrócenie charakteru - twierdzą R.) tej placówki, którą oni nazywają „stacją na wyspie”. Bardzo mi to przypomina walkę, którą my, tak zwana nowa Polonia, przegraliśmy w Perth.

Tutejszym się jednak coś udało zdziałać. Ale wtedy zaczęli walkę między sobą. Krysia i Andrzej opowiadali mi, jak to odebrali władzę na Polu pani B., która trzęsła tutaj wszystkim. To też pani z nowej Polonii, miała koło siebie grono 30 ludzi. Oni tu mają 16 takich działaczy, ale z towarzystwa B. przeszła do nich prawie połowa ludzi. Byli zadowoleni, bo część z tych ludzi, którzy byli na zabawie i zostali długo po sylwestrze i bawili się świetnie, to właśnie była „opozycja”.



Hindmarsh Island

Niestety, dla nas ten rok zaczął się bardzo niedobrze: chorobą Tadeusza. Właśnie leży i poci się po tych Panadolach, które mu dałam. Na Wyspie nie ma lekarza. Chociaż... Ma tu swoją farmę strusi lekarz Polak, przyjmuje dzisiaj gości. Byliśmy u niego w noworoczny wieczór, powiedział: „Ja już jestem po kilku kielichach, nie palę się, żeby jechać do chorego, bo nawet nie mam tu swego sprzętu - ja tu nie praktykuję!” I poradził nam, żeby jechać do szpitala, jeśli to jakieś zapalenie żył, bo na to wygląda.

Jutro więc będzie trzeba jechać znów do Adelaidy, zrobić badania w szpitalu, odwiedzić pilnie jakiegoś lekarza.

Na razie Tadzio ma gorączkę. Leży mokry. Jak przeżyjemy noc, nie wiem. Dzisiaj nie chciał nigdzie jechać, uparł się: on w Nowy Rok nie będzie chorował, to byłaby zła wróżba na cały rok! Co taki upór może zmienić?

5 stycznia

Następnego dnia, w sobotę, Tadzio czuł się pozornie lepiej, ale zgodnie z zapowiedzią dał się zawieźć do lekarza. I tak, Tadzio spędził dwie następne noce w szpitalu. A ja nocowałam na zewnątrz, w samochodzie. Pierwszą noc będę pamiętać do końca życia, bo o północy wylądował ze straszliwym hukiem helikopter, siadając prawie na dachu mojego kampera!

Mając samotną niedzielę do dyspozycji poszłam do ogrodu botanicznego. Ogromnie mi się podobał, było w nim cieniście i swojsko. Nad strumieniem posadzono tam nawet mały laszek brzozy: trzynaście brzózek, mniejszych i większych, różnych gatunków. Można się położyć pod tymi brzozami na wilgotnej, miękkiej trawie i człowiek czuje się szczęśliwy. Potem odwiedziłam poznanego na zabawie sylwestrowej Krzysztofa W., który z kolei posłał mnie do pana Dudzińskiego, bardzo miłego 80-latka, u którego siedziałam, rozmawiając, do północy. Drugą więc noc spędziłam na *driveway'u* pana Dudzińskiego, parkując obok starego radiowego wozu transmisyjnego, w którym mój gościnnie gospodarz od lat montuje swoje programy radiowe dla polskiego radia w Adelaide.

W poniedziałek znowu był straszliwy upał, gdy jechaliśmy z powrotem na Wyspę. Dzisiaj zaś, jak Tadeusz mówi, Pan Bóg gładzi tę ziemię uspokajająco, bo spuścił na nas kilka kropelek deszczu. Jest pochmurno, grają cykady, jest dosyć przyjemnie bez słońca.



Hindmarsh Island

Dwa dni później

A potem rozpadało się, gdy już byliśmy gotowi wyjeżdżać. Było sennie, Tadek kurował swoją nogę, a nasi przyjaciele znowu mieli mokry namiot i nie mogli się złożyć. Wszyscy pili więc piwo, które z jakichś zapasów klubowych wyciągał Edek.

Ostatni dzień spędziliśmy w odwiedzinach u Doroty i Mietka. Mietek to właśnie ten poeta, który w sylwestra śpiewał swoje nieco smutne ballady w przerwie między tańcami na Mazowszu. Jak przyjechaliśmy, Dorota była w pracy, zaś „mały” Wojtek, nastolatek, tłukł sznycle cielęce klęcząc na betonowej podłodze. (Betonowej, bo tata zamiast desek na podłogę kupił właśnie Rolanda!) Bardzo rzeczowo i solidnie się do tego zabrał, wyglądało to tak, jakby każdym uderzeniem tłuczka wbijał w beton gwoździe. Niemniej, po dwóch godzinach te sznycle zostały podane na stół, razem z pieczonymi kurczakami i jeszcze innymi smakowitościami. Piliśmy do tego czerwone wino, a gospodarz, mimo że miał solidnie w czubie, śpiewał dla nas swoje utwory, z trudem przypominając sobie słowa. Nagrałam to...

Jego piosenki są smutne, pełne tęsknoty, proste i - przede wszystkim - szczerze, może nie gorsze niż Jacka Kaczmarskiego, może bardziej serdeczne. Mniej wymyślne, kulturalne, intelektualne. Wybaczyłam mu, że cały czas się czepiał mojej pięknej

polskiej wymowy i podkreślał, że się nie mówi „przyszędłem” tylko „przyszłem” itp. Ma kompleks, czy co?

A potem jeszcze raz wróciliśmy na Wyspę, gdzie już w ogóle nie ma wody. Korzenie drzew zadusiły rurę plastikową, którą się ciągnie wodę z rzeki do kuchni i łazienek. Żeby skorzystać z toalety i wykąpać się trzeba było zejść do domku nad rzeką. Myśmy na szczęście mieli rozłożony pełny obóz, z łazienką i toaletą, toteż nie musieliśmy biegać, ale czas już było wyjeżdżać. Siedzieliśmy na Wyspie 17 dni, dłużej niż gdziekolwiek indziej podczas całej naszej podróży dookoła Australii. Siedzieliśmy, bo było nam swojsko i po polsku. I warto będzie to Boże Narodzenie pamiętać.

Fragment z zapisu podróży kamperwanem dookoła Australii.